

— Tego rodzaju zbrodniarki, okazujące tyle przebiegłości i zuchwalstwa co ta kobieta, licza zawsze na swą złoć, więc mniej lękają się pościgu i odkrycia, niż mężczyźni. Ponieważ wszystko to, co o niej się słyszało, wyraźnie świadczy, że to była kobieta próżna więc przypuszczałem, że gdzieś, w jakim zakątku Europy pojawi się na widowni, ażeby używać zrabowanych bogactw. Jestem pewien, że byłbym ją znalazł, gdyby w Europie pozostała. Jeżeli po kilku latach nie odszukałem jej tam, to ją teraz tu znajdę. Oto zasz historyę kilkoletniej mojej tułaczki po świecie.

Pokaż mi jeszcze to ciekawe oko, może będę mógł co z niego wyczytać?

— Hm, hm, szczególnie ma wyraz. Zdaje mi się, że wśród tysiąca kobiet można by właściwie znaleźć tych oczu od óżni.

— To niezawodnie, ale w tem właśnie rzecz cała, gdzie są te tysiące kobiet, wśród których właścicielkę tych oczu poznaćby można?

— Już jeszcze raz przypatrzyć się dokładnie. Tak, teraz już ta fotografia utkwiła mi tak w pamięci, że przy sposobności będę ci pomagał.

Jeszcze kilka godzin spędzili razem, a gdy się wieczorem rozeszli, specjalista do wyszukiwania zbrodniarek, Neil Stuart, myślał długo o morderczyni co ma tak czarodziejskie oczy i cieszył się nadzieją, że przyjacielowi niezawodnie się przysłuży.

II.

LEONORA.

Właśnie w tym czasie, gdy Stuart i Jocelyn posilali się w ogrodzie Tivoli, wysiadła na dworcu Michigan z pośpiesznego pociągu kobieta niepospolitej piękności, ubrana skromnie z wielką prostotą, ale nadzwyczaj zgrabnie i gustownie. W pięknej postaci było coś imponującego. Zgrabne, ale energiczne ruchy świadczyły o stanowczości, która się też i z pięknych, ciemnych oczów przebijała i z rysów twarzy szlachetnych i dumnych.

Wysiadłszy, rozglądała się po peronie, jak gdyby kogoś szukała, lub wyczekiwała. Po chwili, doznawszy w docznie zawodu, zdążyła ku poczekalni. Na progu rzuciła się ku niej z radosnym okrzykiem młoda, piękna panienka.

— Jesteś, jesteś! Co za szczęście. Przepraszam cię, że się spóźniłam. Ale nie byłaś nie spokojna, niespostrzegłszy mnie na peronie? Co? Prawda? Nie wątpiłaś przecież, że wyjdę na przeciw ciebie? A chodźże, chodź, już to przecież by czas ostateczny, abyś się do miasta wybrała.

I porwawszy niemal przybyłą, poprowadziła ją do powozu. Zaledwie usiadły, zaczęła znowu wesoło szczer bić.

— Norciu, Norciu kochana, jakże ja się cieszę, że znowu będziemy razem. A nie myśl sobie, że cię prędko wypuszczę. O nie! Musisz przyzwyczaić się do miasta. Nie będzie tutaj wiejskiej sielanki, ale nie doznasz nudów. Ruch, gwar, życie, teatr, koncerty, ożywione towarzystwo, to wszystko powinno ci się bardziej podobać, niż cisza i mariwota w zaułku wiejskim.

— Gdyby nie ty, moja ukochana Kati, to bym tu wcale nie przyjechała. Przywykła do miasta — nie pojmujesz nawet tego uroku, jaki tkwi w wiejskim zaciszu; jak tam wszystko uzdrowia i podnosi, jak zasilą charakter, jak urabia ducha i uczy człowieka wystarczać samemu sobie. Nie przez to, że co pewien czas potrzeba zajrzeć do miasta, bo są ogniskami kultury, bez których obejść się nie można, ale zdrowiej dla duszy i ciała mieszkać w zaciszu wiejskim.

Wśród ożywionej rozmowy nie spostrzegły, kiedy się powóz zatrzymał przed pięknym, trzypiętrowym domem, na jednym z najpiękniejszych skwerów miasta. W tym domu zajmował obszerne mieszkanie młody kapitalista, Ruthven. Żona jego, kobieta bardzo miła, wykształcona, lubiła towarzystwo w domu, nie szukając poza domem żadnych przyjemności. Miał tylko jednego synka kilkoletniego, więc dość pusto było w domu i dlatego Ruthven z prosił do siebie siostrę swą żony, Kati Scaton, dziewczynę młodą, wesołą, która stała się w domu ożywczym duchem.

Kati miała serdeczną przyjaciółkę, koleżankę z czasów szkolnych, mieszkającą na wsi.

O tej przyjaciółce tak często opowiadała, tak się zachwycała jej inteligencją, jej charakterem, tyle razy w pominęła, żeby ją pragnęła zobaczyć, iż Ruthven zaproponował, aby ową uko-

chaną do siebie zaprosiła. Dlatego to Leonora Armyn do Chicago przybyła.

Ruthvenowie byli bardzo gościnni, to też wyborowego towarzystwa nigdy im nie brakło. Zebrania w ich domu miały charakter ciepły, rodzinny.

W dniu przybycia Leonory, zebranie u Ruthvenów było liczniejsze niż zwykle, bo to były imieniny Ruthvenowej. Ostatni przyszedł Arteveldt. Oczywiście, że matki, mające ładne córki na wydaniu, witały się z nim z taką słodyczą, jak jej doznaje wszędzie i zawsze bogaty młody człowiek gdy o nim mówią, że jest znakomitą partya. Mężczyźni mniej się kwapili ku niemu, poprzestając na zwykłej grzeczności. Że panny zresztą zerkają — to nie dziw, bo każda chciała bodaj z podobną i pozyskać sobie owego pogromcę serc niewieścich, nazywa ego niekiedy lwem salonowym. Kati Scaton zajęła się gościem nie tyle może z jejiego sentymentu, ile raczej z obowiązku g spodyni.

— Pan bywa zawsze niepoprawny, zawsze ostatni.

— Ten wyrzut byłby dla mnie bardzo po- chlebny, gdybym wiedział, że pani na tem za- leży — abym się nie spóźniał.

— Nie może pan wątpić, że mi na tem za- leży, wszakże wyręczę mągnspodynią, a każda radaby jaknajdłużej cieszyć się swymi gośćmi. Ale tym razem sam się pan ukarał.

— A to jakim sposobem?

— Zaraz się pan dowie, gdy pana przed- stawię mojej przyjaciółce.

— Przyjaciółce? A której?

— Wszakże nie raz pan słyszałeś odemnie o Leonorze Armyn.

— A, to owa nadzwyczajna piękność, jak ją pani nazywa.

— Niechże pan sam osądzi, czy się omyli- łem. Patrz pan w rogi salonu rozmawia z do- ktorem Kaertlend.

Arteveldt spojrział ciekawie w ową stronę i przypatrywał się Leonorze okiem prawdziwego znawcy.

— Istotnie, nie omyliła się pani. Panna Armyn jest znakomitą pedantką do swojej przyjaciółki.

— Dziękuję. Czy pana przedstawić?

— Jeżeli pani łaskawa — to nieco później; nie chcę się pozbawiać przyjemności rozmawia- nia z panią. Kto jest właściwie panna Leonora Armyn?

— Tyle razy pan słyszałeś, że to moja naj- serdeczniejsza przyjaciółka.

— Bardzo to dla panny Armyn pochlebne, że jest przyjaciółką pani, ale jeszcze niezupełnie dostateczny. Możeby mi pani podała jakieś szcze- góły o niej?

— Jest to istota najlepsza i najszlachetniejsza na świecie, jaką znam.

— Nie można o tem wątpić, skoro ją pani swoją przyjaciółką nazywa.

— Jest niepospolicie piękną.

— O tem już także od pani słyszałem, a teraz się naocznie przekonałem.

— Skoroś pan taki ciekaw, to dodam jeszcze, że jest nadzwyczaj odważna, stanowcza...

Arteveldt uśmiechnął się, bo dotychczas nie miał sposobności nabrać tego przekonania, czy doświadczenia, żeby mogła istnieć na świecie kobieta odważna i stanowcza.

— Skoro się pan uśmiecha, to już nic nie powiem.

— Właśnie mój śmiech powinien panią za- chęcić do przytoczenia innych jeszcze zalet przyjaciółki.

— A czy nie było ironii w tym uśmiechu?

— Nie pani — zapewniam, że tylko zado- wolenie.

— Włec na seryo ciekaw pan dowiedzieć się czegoś więcej?

— Ależ niezawodnie.

— A więc słuchaj pan. Jest szczerą, na wskrós uczciwą, wierną przyjaciółką. Niema w niej ani cienia obłudy, brzydzi się wszelkiem kłamstwem, choćby nawet najdrobniejszym, pospolicie tole- rowaniem w towarzystwie.

— Gdzie mieszkała ta niezwykła istota? Czy tu w Chicago?

— O nie. Teraz właściwie nie mieszka nigdzie od chwili, gdy jej matka umarła.

— Czy dawno straciła matkę?

— Przed kilku tygodniami.

— I nie nosi po niej żałoby?

— Soelnita tylko życzenie umierającej matki.

— To życzenie niezwykle. Czy pani znała matkę swojej przyjaciółki?

— Wcale nie. Z Leonorą byliśmy przez lat cztery w tym samym zakładzie naukowym, ale w czasie wakacji nigdyśmy się nie widywały. Ja spędzałam je tutaj, a Leonora wyjeżdżała na wieś do matki.

— Czy daleko stąd?

— Owa wieś nazywa się Fairlie i znajduje się w Michigan. Tam się Leonora wychowała i tak bardzo pokochała swój zakątek wiejski, że nie można było nigdy zwabić jej w czasie wakacji, a teraz dopiero po raz pierwszy przybyła do Chicago.

— Widzę, że pana Armyn urywa rozmowę z doktorem Kaertlend; może teraz pani będzie łaskawa przedstawić mi przyjaciółkę.

— Proszę pana — Norciu, pan Arteveldt, znakomity danser, pożądany gość w salonie i... czy powi dzieć prawdę panie Arteveldt?

— Niech pani będzie szczerą, jak zwykle.

— A więc — niebezpieczny bałamut.

— To za surowo.

— Niechże pan teraz udowodni, że się po- myliłam.

Kati Scaton zostawiła Arteveldta w towa- rzystwie Leonory, a sama zajęła się innymi gośćmi.

Arteveldt myślał, że natrafi na wiejską dzie- wczynę, którą od razu przejmie podziwem dla siebie i zdobędzie z łatwością sympatię, ale wkrótce się przekonał, że Leonora jest istotnie niepospolitą dziewczyną, że tak zwane flirtowa- nie jest dla niej wstępné. Na szablonowe umizgi i komplementy, odpowiedziała mu taką majesta- tyczną powagą, taką dysfingowaną stanowczością, że musiał od razu zmienić ton rozmowy, nie chcąc się narazić, aby go samego zostawiła.

Zdarzyło mu się to po raz pierwszy i dlatego też po raz pierwszy w życiu doznał uczucia, jakiego nie doznawał przedtem nigdy w towa- rzystwie żadnej innej kobiety.

Było to zapewne rozbudzenie się w nim miłości prawdziwej, która zawsze tylko z głą- bokiego szacunku dla kobiety wyrasta.

III.

ZAGADKOWA KRADZIEŻ.

Nasępnego dnia siedział Neil Stuart po po- łudniu w kawiarni i przeglądał dziełki, gdy niespodzianie położył mu ktoś rękę na ramieniu. Odwrócił się zdziwiony i spostrzegł Arteveldta.

— Ach, to pan — rzekł Stuart z odcieniem niezadowolenia.

— Przepraszam, że panu przerwałem, ale sprawa bardzo ważna.

To rzekłszy, usiadł naprzeciw Stuarta i po- cichu mówił dalej:

— Wczoraj popełniono niezwykle kradzież dlatego chciałbym prosić o pańską interwencję.

— Prosiłem pana kilkakrotnie, abyś pan nie zapominał o tem, że tu w Chicago nie jestem agentem policyjnym, tylko turystą, jak wielu innych. Przyrzekłeś mi to pan uroczyście.

— I przyrzeczenia ściśle dotrzymuję. Do tej chwili nikt jeszcze odemnie się nie dowiedział o pańskim zawodzie. Ponieważ owa kradzież jest bardzo zagadkowa, więc sądziłem, że może pan zechce, choćby dla własnej przyjemności zająć się nią z właściwą sobie złoćnością. Proszono mnie, ażebym wezwał najrzeczniejszego agencja tutejszej policyi, ale proszę się nie dziwić, że znając pana z opinii, która tu z New Yorku dotarła, przedewszystkiem do pana się zwróci- łem. Jeżeli sprawię tem przykrość, to bardzo przepraszam.

Neil Stuart był istotnie agentem z zamiłowa- nia, więc pomimo swojego *incognito*, które w Chi- cago zachowywał, skłonił się od razu do zajęcia się tym niezwykle wypadkiem. Siedli zaraz do powozu i pojechali.

— Niechże mi pan opowie, jak się to stało? — rzekł Stuart.

— Przyjaciół mojej matki, pan Durand, sprze- dał wczoraj dom na przedmieściu i otrzymał za niego 25 000 dolarów. Miał je dziś odnieść do banku, ale mu je w nocy w zagadkowy sposób ukradziono.

— Pan Durand? Czy to nie ten, który ma bardzo piękną córkę?

— Czy panu może mówiłem o niej?

(Ciąg dalszy nastąpi).